Rozmaitości

Dnia 10. Kwietnia Ner. 15. Roku 1841.

DZIEDZICE PRZEKLĘCTWA.

Daremnie człowiek wiary budownikiem:
Że wola jego wolnych dzieł mistrzyni;
On tylko tajnéj władzy niewolnikiem,
Ta wybor jego koniecznością czyni!
Szyller.

(Ciąg dalszy.)

»*Signori!*« rzekł Bevilaqua, »oby ta zgoda nigdy trwać nie przestała! Nikt nade mnie nie może w niéj mieć większego udziału. Imię mojego domu jest najściśléj z waszym domem złączone. Gdy jeszcze Mastin piérwszy był podestą, już on zjednał sobie starożytny ród Bevilaqwów. Onito najpiérwsi przyłożyli się mądrą radą i walecznem ramieniem swojém, że mitrę książęcą na głowę ojców waszych włożyli. Ja sam byłem radcą, urzędnikiem u cztérech przodków waszych i sądzę, że im wiernie służyłem. Ale wierny sługa, rzetelny poradca, nie zawsze jest miły. W każdéj zmianie rządu śmiało i bez obawy objawiałem moje zdanie, pozwólcież i teraz; późniéj może wcale słuchać mnie nie zechcecie.«

»Powiédz otwarcie swoje zdanie!« rzekli obadwaj młodzieńcy ujmując go za ręce.

»Słowa moje będą jak piołun gorzkie, a jak miecz ostre; ale tylko tym sposobem pożytecznémi być mogą«, rzekł Bevilaqua ozięble. — »Wszyscy prawie przodkowie wasi byli złymi książętami. Nie w klątwie, którą na piérwszego z nich rzucono, w ich sercu mieszkał zaród wszelkiego nieszczęścia, które ich dóm i kraj dotknęło. Niesłychanym zbytkiem, wygórowaną dumą zamyślił tak *Can Grande piérwszy,* jako téż Mastino drugi zagładzić w narodzie pamiątkę, jakim sposobem przodkowie ich na tron wstąpili. Nie spodziéwajcie się ujść przeklęctwa, które już od wieku cięży na pokoleniu waszém, jeżeli nie wystąpicie z tego zaklętego koła, w którém jego moc czarodziejska władnie. Przeklęctwa tego ani otworzeniem rzeczonego skarbcu, ani braterską zgodą nie uchylicie.«

»Jako, starcze? Nie rozumiém cię«; rzekł Antonio z uwagą.

»Wiadomo wam«, rzekł starzec daléj, »że ani lud ani stan szlachecki waszemu domowi nie sprzyja, i władzę waszę za przywłaszczoną uważa; dodajcież jeszcze do tego, żeście nieprawnymi synami, a przyznacie sami, że nietylko Bernabo Viskonty, ale każdy inny pretendent korony tajemne, a gdy zechce, otwarte stronnictwo w Weronie znajdzie.«

»I cóż mamy począć?« zapytał Bartholomeo.

»Zgromadźcie szlachtę, każcie im przeczytać testament waszego ojca, w którym obudwu wam sprawy rządu porucza, oświadczcie, że się za prawnych władców nie uznajecie, a ja dam gardło moje, jeżeli jednego z was téjże saméj chwili w Weronie udzielnym władcą nie obwołają.«

Młodzieńcy zamyśliwszy się na chwilę, stali w milczeniu.

»Jestto wielki książęcy czyn, który wam przedkładam, i którego tylko od młodych i szlachetnych serc żądać mogę!« rzekł Bevilaqua patrząc surowo w twarz młodzieńców. »Jeżeli za moją pójdziecie radą, ręczę wam głową moją, że jednym zamachem obalicie nietylko wszystkie zamysły spółubiégających

się o koronę, ale nawet podstępy wszystkich tajemnych zdrajców.«

»Przystaję!« odrzekł Bartholomeo z pośpiechem. »Uznaję słuszną radę twoję, i gotów jestem pójść za nią.«

»Pozwól bracie!« przerwał mu Antonio mowę, i wpatrzywszy się mocno w Bevilaquę zapytał: »Jestżeś tego pewny kawalerze, że jeden z nas obranym będzie?«

»Tak pewny jak mego sumienia!« odrzekł starzec. »Zresztą«, dodał z godnością, »nie myślę ja ani na was nalegać, ani wam mojej rady narzucać; ale weźcie ją na rozwagę, łaskawi panowie i osądźcie sami, jak macie sobie w tym razie postąpić. Ja nic innego wam nie powiedziałem, jak tylko to samo, co Mastinowi drugiemu, waszemu ojcu i braciom jego przy wstąpieniu na tron mówiłem.«

To rzekłszy, z powagą pokłonił się starzec i wyszedł z pokoju. — —

Któryż z podróżnych, będący w Weronie nie zwidził grobów domu *della Scala!* Nie w ciemnych, jak zwyczajnie i wilgotnych podziemnych sklepach, nie w kaplicach lub w bocznych kurytarzach starodawnych kościołów, lecz pod błękitnem sklepieniem nieba stoją pomniki, ogromne sarkofagi, zawierające popioły członków wygasłej rodziny tych książąt. Na wolnym placu, tuż przy kościele Ś. Zenona, otacza je lekka żelazna krata. Tu widać trunny z cielistego żółto-nakrapianego marmuru z góry *Bolca,* z tegoż samego kamienia, który także popioły Julii Kapuletów zamyka — tak ogromne, iżby w nich zwłoki olbrzymów zmieścić się mogły. W tych trunnach spoczywają, Mastin pierwszy, *Can Grande,* tudzież kilku jego braci i następców; okazalsze jeszcze pomniki wzniesiono, dla Mastina drugiego i dla kilku innych. Najspanialszym zaś, jest grób *Cana Signorio,* ojca Antonia i Bartholomea, z kilku gatunków marmuru złożony, i na szczycie posągiem konnym przyozdobiony. Z powierzchownego przepychu bardziej niż z charakteru i czynów zmarłego, jest on dla widza godnym uwagi. Sławny w nowszych czasach jenerał, (marszałek Augerau) kazał go otworzyć i wyjął na pamiątkę sztylet, który leżał obok zmarłego. — Już była godzina po pogrzebie, gdy się Don Antonio z swym ulubieńcem, kawalerem Leone Leoni, w swoim tajemnym gabinecie znajdował. Ten ostatni byłto wysokiego wzrostu, śmaglawéj twarzy człowiek, z spokojną, odważną, zamyśloną miną, lecz w któréj się oraz nieposkromiona duma i chytrość malowała. Miał on na sobie tak zwany bufetyn, kaftan z skóry bawoléj, tudzież nieczernione z dużémi ostrogami buty, które równie, jak i cały jego ubior i baret, pyłem okryte były. Tak po tym ubiorze jak i po przypasanym do boku orężu, poznać było można, że rycerz ten wrócił właśnie z jakiéjś śpieszno odbytéj podróży. Człowiek ten założywszy ręce, stał niedbale naprzeciw księcia, i tylko jedném okiem, gdyż drugie stracił na wojnie, patrzył przenikliwie w młodzieńca. Gdy Antonio jakęś żywą i ważną mowę skończył, na wciętych ustach i dumném licu rycérza pojawił się uśmiéch pogardzający.

»W takim razie«, rzekł ozięble, »muszę Waszę książęcą Mość prosić o przebaczenie, żem niewczesną, a jak teraz widać, nadaremną gorliwością uniesiony, pognał na koniu do mego brata, skorom się dowiedział, że w jego domu w *Brescia* Viskonty Bernabo przebywa. Mocnom się omylił, gdym Waszéj książęcéj Mości przysługę chciał wyświadczyć, ale — *per Dio!* i książę Medyjolański również się zawiódł. Z tém wszystkiém i to jest nie źle. Bernabo przestaje się uzbrajać i już ani wątpi, że Wasza książęca Mość przyjmiesz rękę jego siostry i trzykroć sto tysięcy liwrów posagu; atoli Malatesta zbliża się do nas z swojém wojskiem, możesz mu więc książę odmowną posłać odpowiedź. Ale przysięgam na *Madonnę z Loreto!* że on nie zniesie tego, aby młody książę nie chciał przyjąć pięknéj oblubienicy, beczki złota i potężnego sprzymierzca, jedynie z tego powodu, że z tém zamężciem połączony jest warunek wyłączenia z rządu brata, który — sam do rządu należéć nie chce.«

»Chceszże, abym złamał moje książęce słowo i testament ojca znieważył?« rzekł Antonio z zapałem.

»Bartholomeo chętnie zrzeknie się tego prawa, a przynajmniéj książę sam jesteś tego zdania«, odrzekł Leone Leoni z uśmiéchem.

»Cóż ty przezto rozumiész?« zapytał książę wlepiwszy wzrok w rycérza. »Toż sądzisz, że Bartholomeo mnie zwodzi? Że tylko dla mego omamienia przyrzéka mi zrzéc się praw swoich, i że ma jaki zamiar ukryty?«

»Bartholomeo?—wątpię!« odrzekł rycérz lekko. »Ale on jest bardzo drażliwy, czuły, zadumany i dla tego łatwo przez innych uwiedziony być może. Gdyby jaki dumny człowiek, np. Bevilaqua lub Pellegrini, ułożył był jaki zamach do szkodzenia, a nawet do obalenia cię książę, ręczę, iż niejakim przebiegiem nietrudnoby było do tego zamiaru pozyskać Bartholomea, chociaż książę pochlébiasz sobie, że on do ciebie mocno jest przywiązany, czemu ja bynajmniéj sprzeciwiać się nie myślę.«

»To jest nieprawda!« rzekł Antonio z uniesieniem. »Rzucasz potwarz na brata mego, jednakże przebaczam ci ze względu na twoje ku mnie przywiązanie, oraz że się starasz związek mój z wice-hrabią przywieść do skutku. Co się zaś Bevilaquy dotyczy.—«

»Ród jego nie nawid.. twego książę, a on jest głową swego!« przerwał mu mowę z pośpiechem Leone Leoni. »Onby rad wszystkich potomków *della Scala* od tronu wyłaczyć.«

»Rad jestem, że mam sposobność przekonać ciebie o mylném twém mniemaniu!« odrzekł Antonio. »Właśnie przed trzema dniami dawał on mnie i memu bratu radę, jakim sposobem na tronie jeszcze bardziéj umocnić się możemy.«

»Ciekawy jestem usłyszéć tę radę, jeżeli książę łaskaw jesteś«, rzekł rycérz z szydnym uśmiéchem założywszy na krzyż ręce.

»Bevilaqua był tego zdania, iż niesprawiedliwość, któréj ojciec mój poniekąd się dopuścił, i skaza naszego urodzenia, co większa, że nawet pamięć tych okoliczności, w których Mastin piérwszy zamiast kapitanatu monarchiczną władzę sobie przywłaszczył, zmytémi zostaną, jeżeli za nieważny uznamy testament ojca, i złożywszy w ręce szlachty najwyższą władzę, nowemu się wyborowi poddamy.«

Zaledwie książę mowy téj dokończył, już Leone Leoni na całe gardło się roześmiał.

»Jako?« rzekł Antonio z gniewem, »ty się śmiejesz?—Sądzę przecie, że ten przedmiot nie jest do śmiéchu.«

»Przebacz łaskawy książę« odrzekł rycérz powściągając się z pośpiechem w swéj wesołości; »niesłusznie się roześmiał. W piérwszéj chwili miałem to za niewinną głupotę, co się mi po krótkiém zastanowieniu godną kary śmierci zuchwałością być zdaje.«

»Wytłumacz się«, rzekł Antonio z uwagą.

»Bevilaqua jest zapewne bardzo pewnym swéj rzeczy, kiedy tak proste sidła zastawił«; rzekł rycérz wstrząsając głową.

»Sądzisz więc, że on obłudny, że to wszystko tylko przebiegiem?« dodał książę.

»I książę jeszcze o tém wątpić możesz?« rzekł rycérz klasnąwszy w ręce jak gdyby z zadziwienia. »No, — przysięgam na świętego Antoniego z Padwy! Mocną masz wiarę książę! Toż nie poznałeś zaraz z piérwszego słowa, że jego zamysł do tego dąży, aby was dobrowolném zrzeczeniem się pozbawić wszelkiego prawa do korony, i że stara się o to, aby lud obrał wice-hrabiego Bernaba lub kogo innego — a może nawet, aby sam sobie na tron dopomógł, bo na cóż zdrajca się nie odważy!«

»Wice-hrabiego Bernaba, tego wroga Werony? Sam siebie, siedmdziesiąt-letniego starca? Co ty myślisz Leone? Śmiéch we mnie wzbudzasz!« odrzekł książę.

»Jeżeli ani jedno ani drugie, to zamach jego jeszcze skrytszy! Wtedy—przebacz łaskawy książę—wtedy działa on z polecenia twojego brata«; rzekł rycérz dobitnym głosem.

»Pleciesz nic do rzeczy i szkaradnie!« rzekł Antonio obruszony. »Bartholomeo przed wczoraj nalégał na mnie usilnie, abym sam objął panowanie.«

»Ale od czasu jak Bevilaqua podał ten wniosek, nie prawdaż, że już nie nalęga?« rzekł rycérz z pośpiechem. — »Widzisz książę, otóż w tém sęk! — Wiedziałem ja zaraz jak rzucone kostki leżą.«

»Mówię ci, iż niedorzecznością jest myśléć coś podobnego! Nigdy we mnie nie wmówisz, że mój brat miał jaki zamach na mnie. Już sama jego chęć zrzeczenia się rządu—«

»Niczém inném nie była, jak tylko maską! Wiedział on, że książę téj ofiary nie przyjmiesz, a gdybyś był okazał chęć przyjęcia, byłby on natychmiast cofnął się z swém życzeniem«; przerwał zausznik z gorliwością mowę swojemu panu. »O gdybyś książę patrzył mémi oczyma, albo gdybyś przynajmniéj tą razą usłuchał mojéj rady i równie szybko jak i zręcznie rozdarł tkaninę, którą cię usidlić zamyślają.«

»Sądzisz więc, iż mam użyć podstępu«—rzekł książę zwątpieniem pomieszany.

»Leone Leoni nie doradza nigdy podstępu tam, gdzie jawnéj przemocy użyć można!« odrzekł rycérz z dumą i oziębłością.

»Nie, to być nie może!« odparł książę z gniewem. »Nieprawdę mówisz Leone Leoni, brat mój jest szlachetnym mężem!« dodał z wyrazem dumy. »Puszczam w zapomnienie obawę, którą cię przywiązanie ku mnie natchnęło; jednakże

zakazuję ci, abyś o tém nigdy przedemną nie wspominał. — Pójdziesz teraz do księcia spółrejenta i powiész mu, iż stósownie do umowy, upraszam go, aby się udał do pozgonnego pokoju *Cana Signoria,* i że ja tam również za chwilę do niego przyjdę.«

Leoni przygryzł wargi i skłoniwszy się ozięble, wyszedł z pokoju.

W kwadrans późniéj Bartholomeo czekał już na brata w pozgonnym pokoju ojca. Zatopiony w myślach, poglądał przez okno na żółtawe nurty Adygi tuż pod murem płynącéj, aż oto nagle usłyszał za drzwiami stąpanie i ujrzał Antonia, który wszedłszy do pokoju, na klucz drzwi zamknął.

Z tkliwém okiem pospieszył Bartholomeo naprzeciw niemu i objął go w swoje ramiona. Brat uściskał go nawzajem, jednakże wkrótce ujął go za rękę, poprowadził ku oknu i spojrzawszy mu mocno w oczy, rzekł:

»Czytałeś testament ojca; czy masz mi co powiedzieć?«

»Bynajmniéj!« odrzekł Bartholomeo z niewinnością. »Wyznaję otwarcie, iż dobrą zdawała się mi być rada Bevilaqwy utrzymującego, iż nam nie należy zważać na testament ojcowski, ale powinniśmy nowym wyborem mocniéj naszę władzę ustalić, równie jak i to, że przeciwne twoje dowody wcale mnie nie przekonały, i jestem ciągle tego zdania, że spólny rząd tak dla panujących jak i dla ludu jest z niejakim uszczérbkiém; lecz ty obstajesz przy dosłownėm wykonaniu testamentu, a przeto ja tobie sprzeciwiać się nie chcę.«

»A cóż myślisz pod względem punktu ożenienia?« zapyta Antonio.

»Sądzę, iż ojciec nie miał prawa dawania nam na to w testamencie przepisów«; odrzekł Bartholomeo z niespokojnością.

»Z tém wszystkiém« rzekł Antonio, »postąpił on sobie bardzo mądrze, i już sama polityka nakazuje nam stósować się do jego zasad i nie obiérać sobie innéj, jak tylko prawną małżonkę; aby zaś nie była rodem z Werony, nie potrzebował dodawać. Oprócz tego nié masz w Weronie godnéj dla nas małżonki. Zdaje się, iż go pamięć na niezgodę braci, do tego spowodowała. Obawiał się on, aby który z nas ożeniwszy się z Weronezką, nie utworzył sobie stronnictwa ludu, któreby dla drugiego zgubném być mogło.«

»Była to obawa całkiem bezzasadna!« odrzekł Bartholomeo z zapałem. »Warunek ten—«

»którego dotrzymać należy!« przerwał mu brat mowę. »Testament powinien być dla nas niezłomném prawem. Żadnego punktu zmienić w nim nie możemy, gdyż każdy z nich ściśle jest z drugim połączony, a że testament ten przyjęliśmy za główną naszę zasadę, zatém winniśmy mu poświęcić przekonanie i najmilsze skłonności nasze. Inaczéj niezgoda i zamiészanie powstać może.«

»Z tém wszystkiém bracie gdybym przypuścił przypadek, a sądzę, że mi tego za złe nie weźmiesz, wszak mogą wydarzyć się przypadki«, rzekł Bartholomeo niepewnym, prawie lękliwym głosem. »Połóżmy, żeś poznał się z jaką Weronezką, która rzadkiémi przymioty duszy swojéj tak wielkie na twém sercu sprawiła wrażenie, iżbyś żyć bez niéj nie mógł?«

»Poco przypuszczać to, co nie jest! krótko mówiąc, ja zamyślam starać się o równą sobie małżonkę i sądzę, że ty za tym samym pójdziesz przykładem. Na tém koniec! Przystąpmy teraz do wykonania naszego przedsięwzięcia; otwórzmy tę opuszczoną, przeszło sto lat zamkniętą komnatę.—«

To rzekłszy, wyjął z za pasa zardzewiały klucz, który *Can Signorio* na śmiertelném łożu synom doręczył, i włożył go w zamek po prawéj ręce łóżka, które jeszcze w starodawnym przepychu nietknięte stało.

Antonio długo się natrudził, zanim się mu powiodło klucz w zamku obrócić i na zardzewiałych wrzeciądzach głośno skrzypiące otworzyć drzwi z miedzi wykute.—Gdy się to stało, weszli bracia na wązki, tylko jedném oknem słabo oświetlony kurytarz, w końcu którego były dębowe, wiekiem poczérnione i całą przestrzeń w poprzék kurytarza zajmujące podwoje. I te drzwi były również zamknięte, lecz klucz od nich wisiał na klamce zamku. Na samym środku, jakaś drząca ręka napisała na nich dużémi głoskami te dwa słowa: »*Namyśl się!*« Białe to pismo pożółkło z wiekiem, ale jeszcze było czytelne.—

W tém miejscu z zastanowieniem spojrzeli na siebie bracia; lecz gdy Bartholomeo podał bratu rękę i jak gdyby zrozumiawszy myśl jego rzekł mu po cichu: »Wszak wieczną jest miłość nasza!« wziął Antonio klucz i starał się otworzyć podwoje.—Ogromne drzwi stawiały długo opór wszelkim usiłowaniom obudwóch młodych książąt, aż nareszcie gdy Antonio włożywszy rękojeść swego sztyletu w kólko klucza przemocą go obrócił, roztworzyły się z trzaskiem drzwi komnaty.—

Dopiéro po niejakiéj chwili namysłu weszli bracia do komnaty, w któréj od czasu, jak piérwszy założyciel wielkości ich domu był po raz ostatni, już więcéj noga ludzka nie postała. Wszedłszy, wraz obejrzeli się obadwaj ciekawie; lecz mimo oczekiwanéj okropności, nic

w niéj takowego nie zastali, coby ich trwogą przerazić mogło; i owszém komnata ta, skarbcem zwana, była obszérna, sztukateryją i wyzłoceniem przyozdobiona, ale jak zmrok niepogodnego dnia posępna. Na zciemniałych szybach okien, pyłem i brudem osiadłych, wisiały długie pasma pajęczéj osnowy. Ciężkie jedwabne, złotémi frezlami bramowane firanki, równie czerwony na dużych, poręczowych krzesłach aksamit, były od molów prawie do niepoznania zniweczone. Na środku pokoju stojący duży stół dębowy, równie jak i posadzka, zamglone były warstwą stuletniego pyłu, który w niektórych miejscach na cal był wysoki. Małe, w różnym kierunku posnute ścieżki przez myszy, które z swoich się kryjowek wydostawszy, ten pusty pokój na gonitwy sobie obrały, zdawały się być siatką położoną na rozpostartym pyle. W głębi komnaty tuż przy ścianie stała żelazna skrzynia; była ona zamknięta, lecz po wypukłości na samym środku pyłem odcieniowanéj, poznali bracia, że klucz na wieku leży.

»Jakieś niepojęte uczucie na wskróś mię przenika w tych posępnych ścianach; zdaje się mi, jakby duży kamień cieżył na piersiach moich!« rzekł Antonio po niejakiéj chwili do brata.

»Ja tegoż samego doznaję uczucia«; odrzekł Bartholomeo: »Może to pochodzi z zamkniętego powietrza, a może téż ta grobowa samotność takie na nas wrażenie sprawia. Zdaje się, jak gdyby śmierć w tém miejscu mieszkanie sobie założyła. Patrz! ile tam pajęczych pasm zasępia światło okien, a przecież ani jednego żyjącego mieszkańca, któryby je uprządł; a tam na oném poręczowém krześle, leży dwie zaschniętych, głodem umorzonych myszy.«

Antonio spojrzawszy na wymienione przedmioty, rzekł:

»Otwórzmy skrzynię!« To mówiąc chwycił z pośpiechem za klucz, i otworzył. Większa połowa skrzyni napełniona była starą, śrébrną monetą, a w kilku porozpadanych workach błyszczało złoto. Pomiędzy kupami złotéj monety, leżał z zielonéj skórki pokrowiec, prawie tegoż samego kształtu, jaki miéwa szkatułeczka na klejnoty, tuż przy nim, zwój pargaminu.

Antonio chwycił najprzód za pargamin, a przystąpiwszy do okna i rozpostarłszy go, zawołał: »Pismo ręki Mastina piérwszego! — Czytaj bracie!« dodał po chwili. »Ty masz większą wprawę w odczytywaniu starych rękopisów.«

Głoski dokumentu tego były duże i wyraźne, jednakże wiekiem zblakowane. Bartholomeo zaczął czytać: »Ponieważ Ja, Mastino *della Scala*, od niejakiego już czasu uczuwam, że się do grobu zbliżam, więc uznałem za rzecz potrzebną przytoczyć tu powody, które mnie skłoniły do urządzenia téj komnaty w ten sposób, w jakim ją zastaniesz ty, co ją po mnie otworzysz. — Jak ci wiadomo będzie mój potomku, Ja, syn Jakóba *della Scala*, roku pańskiego 1258 byłem mianowany podestą Cerey, w dwa lata późniéj podestą Werony, a wkrótce potém na kapitanat wyniesiony. Za pomocą Bożą i orężem moim, powiodło się mi zdobyć *Legnago, Levagno, Porto* i *Lendenaro*. Przezto ściągnąłem na siebie nienawiść nieprzyjaciół, a najzaciętszymi z nich byli członkowie rodziny *San Bonifacio*. *Luigi*, głowa tego rodu, nienawidził mnie najbardziéj, kazał skrytobójczym sposobem zgładzić z tego świata kawalera *Turrisendo de Turrisendi*, i starał się to zabójstwo złożyć na mnie. Jednakże ja oświadczam niniejszém przed Bogiem i przed tobą mój wnuku, żem się go nie dopuścił. *Luigi* złączył się potém z *Pulcinellą della Carceri*, nakłonił *Roberta della Tavola*, do nastawania na moje życie; jednakże mocą mojego prawa i ramienia zgromiłem wszystkich mych przeciwników. Szczęście sprzyjało mi w moich zamysłach. Upokorzyłem *Vicenzę*, która z nami wojnę toczyła, podobnież i *Trydent*; zdobyłem *Montebello* i *Loniyo*. Szlachta nie nawidziła mnie wprawdzie, lecz lud kochał, albo obawiał się mnie; wystawiłem pałac pretoryjański, i wzniosłem Weronę do nierównie większéj niż przedtém była pomyślności. Nikt nie śmiał mi praw książęcych zaprzeczyć, i mogę rzéc z pewnością, żem je sobie zasłużył mieczem i dobrodziejstwy, którem dla Werony położył. — Wszelako gdym stanął na szczycie pomyślności, wydarzył się przypadek, którego pamięć jak sęp szarpie wnętrzności moje. Jeden *Nobile*, imieniem *Benassu de Magnalovi*, zakochał się w pięknéj Lukrecyi Nagarola, która była majętna sierota. Dziéwica kochała go nawzajem, atoli opiekun jéj utrzymywał, że *Benassu* był tajemnie ożeniony, i że dla pozyskania ręki Lukrecyi, zabił swoję małżonkę. A że Magnalowi kilkakrotnie Lukrecyję wykraść się starał, przeto opiekun przywiózł ją do mojego pałacu z tém oświadczeniem, że dziewica w jego domu nie jest bezpieczną. Poruczono mi roztrząsanie téj sprawy; z przytoczonych dowodów przekonałem się, że Magnalovi był niewinnie posądzony, atoli — ujrzałem Lukrecyję, i powziąłem ku niéj najtkliwszą miłość. Wydałem wyrok pomyślny dla opiekuna. Po upływie roku podarunkami i namową zjednałem sobie przywiązanie Lukrecyi, została skrycie moją małżonką, i powiła mi syna. — *Banassu Magnalovi* już piérwéj niesprawiedliwym wyrokiem rozjątrzony, wściékał się na wiadomość, że mu się sprzeniewierzyła kochanka. Wziąwszy sobie w pomoc

trzech braci, napadł na mnie śród białego dnia na wschodach mego domu. Obroniłem się mordercom, których schwytano i nazajutrz wszystkich cztérech stracono. Powodowany nienawiścią, chciałem się przypatrzyć widokowi ich stracenia. Gdy Banassu widział spadające głowy swych braci, zaczął na dóm *della Scala* miotać straszliwe przeklęctwa. Już go kat miał pod swoją ręką, już klęcząc podawał głowę, a jeszcze po raz ostatni wykrzyknął w te słowa: »Przeklęctwo niech padnie na ciebie Mastino i na wszystkich twoich potomków! Zabiłeś cztérech braci, którzy się kochali, jako sędzia zdradziłeś prawo, za to niech zdrada i bratobójstwo tak długo mieszkają w twoim rodzie, dopokąd, co się nigdy nie stanie, familija twoja nie wyda dwóch braci, którzy jak najczuléj kochać się będą, a jeden dla drugiego największe szczęście poświęci; dla niewiasty przywiodłeś do upadku jednę z najszlachetniejszych rodzin włoskich, również przez niewiastę niech dóm *della Scala* przyjdzie do upadku!« Jak piorun uderza w ziemię, tak uderzyły te słowa w serce moje. Starałem się wszelkiémi sposoby puścić je w niepamięć, ale duch *Benasa de Magnalowi* ścigał mnie w snach moich nieustannie, i przypominał to straszliwe przeklęctwo. Nie długo trwało, a już jedna okoliczność stwierdziła tego przeklęctwa piekielny skutek. Brat mój Alberto zaczął od tego czasu coraz bardziéj oddalać się odemnie, chociaż piérwéj szczérześmy się kochali. Od okropnego losu, któregom doświadczył, chciałbym was moi potomkowie, ustrzédz i ochronić. Któż wié, może mnie jeszcze najstraszliwsze czeka!—«

»Patrz!« rzekł Antonio, »wyrazy te trzykrotnie podkréślone.—«

»Mylisz się bracie«, odrzekł Bartholomeo. »Prawda, iż skrytobójcy zabili Mastina dnia 17. października 1279 na miejscu, które się jeszcze podziś dzień *Volto barbaro* zowie, lecz Scaramellich i Pigozzich uważano za przewodców tego mordu, a Alberto pomścił się śmierci jego.«

»Wiém o tém i wierzę temu, chociaż o tém inne są jeszcze podania«; odrzekł Antonio. »Lecz czytaj daléj.«

»Dla zabezpieczenia więc«, czytał Bartholomeo daléj, »moich potomków ile to w mojéj jest mocy, od zgubnych skutków tegoż przeklęctwa, i żeby wielkość naszego domu, nad którąm z takim trudem pracował, przez ichże lekkomyślność i niezgodę do upadku nie przyszła, napominam tym aktem, który po śmierci każdego z mych następców, dziedzicom jego ma być przeczytanym, aby z sobą w jedności i wiernéj zgodzie żyli; jednakże wiedząc z doświadczenia, że nadzieja korzyści częstokroć dla słabego umysłu zbyt ważną jest pobudką do zachowania się w sposobie przepisanym, złożyłem więc w téj skrzyni znaczną kwotę pieniężną, z tém przykazem, iż skarb ten, tylko ten z mych potomków podjąć może, który swego brata najczuléj kochać i dla niego wszystko poświęcić gotów będzie. Tym sposobem spodziéwam się, iż nietylko zniweczę klątwę, która na domie mych potomków ma na przyszłość ciężyć, ale nawet że nadzieja pozyskania skarbu pobudzać ich będzie do wychowania w zgodzie synów swoich i pomnażania ich braterskiéj miłości.—Jednakże wnuku mój, ty, który to czytasz, ażebyś, nie mając wyobrażenia o przedmiocie mojéj miłości, nie potępiał ozięble uczuć moich, które mnie do wydania krwawego wyroku skłoniły, przyłączam tu do tego pisma wizerunek Lukrecyi. Oby widok jego przypomniał wam te błogie chwile i te udręczeń pełne lata, które pradziad wasz przeżył!«

»To pisałem Ja« — tak się kończyło pismo— »Mastino *della Scala* na dniu SS. Piotra i Pawła roku pańskiego 1279.«

Gdy Bartholomeo przestał czytać, wyjął Antonio pokrowiec, bez zwrócenia nań szczególniejszéj swojéj uwagi, położył go razem z pismem na krawędzi żelaznéj skrzyni i przypatrując się pieniądzom, rzekł:

»Znaczna summa, dostateczna do zaspokojenia na długi czas potrzeb państwa i naszych! — Jednakże właśnie wpadło mi na myśl, że ty w podróży swéj cokolwiek wyczerpałeś twą kasę, przeto ten ubytek najpierwéj uzupełnić należy. Wyjmiéj ten worek ze złotem, jestto tylko jeden, co się jeszcze nie rozpadł; resztę poszlemy do skarbu państwa.«

»Nie, bracie!« odrzekł Bartholomeo, gdy Antonio nań nalégać zaczął, by wyjął worek ze złotem. »Ani jednéj złotéj liry nie wezmę. Ojciec obdarzył mnie dostatecznie. Lecz ty zamyślasz się wkrótce żenić. Dla wystąpienia godnie na dworach włoskich, potrzeba ci książęcéj okazałości, a tém samém pieniędzy. Weź więc wszystko złoto, a śrebro skarbnikowi państwa oddamy.«

»Tym sposobem«, odrzekł Antonio z uśmiéchem, »nie przyjdziemy nigdy do celu; więc nic innego nam nie pozostaje, jak tylko — podzielić się wzajemnie.« — Poczém wziął pismo i pokrowiec, a zamknąwszy skrzynię i oddawszy klucz Bartholomejowi, dodał wesoło: »Mniemaćby można, iż Mastino napełniając tę skrzynię śrebrem i złotem, zapewne nie spodziéwał się takiego sporu przy podziale.«

Śmiejąc się i żartując, wyszli bracia z komnaty.

»A teraz«, rzekł Antonio, gdy wrócili do dawnéj *Can Signoria* komnaty, »przypatrzmy się téj piękności, w któréj się pradziad nasz do tego stopnia był rozmiłował. Stawię w zakład sto sztuk złota, iż ta pani nie była tak nadzwyczajnie piękna.«

To rzekłszy, otworzył Antonio z pośpiechem szkatułkę, w któréj był wizerunek zamknięty. Gdy go wyjął i nań spojrzał, wydał Bartholomeo krzyk, który równie za przestrach jak i za zdziwienie poczytać było można.

Antonio nie rzekł aby jednego słowa, ale tak mocno utopił wzrok w wizerunku, iż się zdawało, jak gdyby go nazawsze tam pozostawił.

Wizerunek ten na piędź széroki, kształtu okrągłego, był przyozdobiony wązką z szczérego złota ramką i wyobrażał niemal dwudziesto-letnią dziewicę, prawie nadziemskiéj piękności. Nie można było wiedzieć, co bardziéj w nim podziwiać, czy krucze po łabędziéj szyi na pełną pierś spływające pierścieniami włosy, czy mroczy w ciemném oku tlejący ogień, czyli szlachetne rysy lub też całość życiem i duszą tchnącą.

»Byłbym zakład mój przegrał!« odezwał się Antonio, gdy się z swojego zadumania ocknął. »Ha, teraz pojmuję miłość Mastina! Teraz dopiéro wyobrazić sobie mogę, jak się w téj kobiécie zapamiętale mógł zakochać i jak bez granic nienawidził tego, który mu w téj miłości był na przeszkodzie!«

Bartholomeo uważając uniesienie swojego brata, spojrzał nań bardzo żałosnym wzrokiem, a potém rzekł łagodnym głosem: »Słusznie mówisz bracie! Kto tę istotę raz ujrzał, musiał jéj mimowolnie oddać serce swoje.«

»O niezawodnie! — niezawodnie!« odrzekł Antonio, jednakże jak gdyby bez pamięci, gdyż ciągle wytężony wzrok trzymał w wizerunku.

»Przez Boga, co czynisz bracie?« rzekł Bartholomeo widocznie wzruszony, »wszak ty nie odwracasz twego oka z tego obrazu, tak mocno nim zdajesz się być zajętym. Przecież to jest tylko wizerunek istoty, która już dawno nie żyje, któréj kości w proch się już obróciły.«

»Bynajmniéj! — bynajmniéj; mylisz się bracie!« odrzekł Antonio jakby upojony ciągle jeszcze w portret patrząc. »Ta istota żyje! Niezawodnie żyje! Takiéj piękności nie utwarza natura, aby ją niszczyła.«

»Przebóg Antonio!« rzekł brat z przestrachem. »Jakież okropne wrażenie sprawiła ta postać na tobie! Uniesienie to tak dla twojéj jak i mojej spokojności, dłużéj trwać nie powinno. Daj mi ten portret do przechowania.«

»Przenigdy!« odrzekł Antonio z zapałem. »Odtąd już nie rozstanę się z tym obrazem; chcę go zawsze mieć przed oczyma.«

»Proszę cię, nie czyń tego!« rzekł Bartholomeo trwożliwie. »Pocóż to bałwochwalstwo zmysłowe? Nie gniewaj się na mnie, że się w ten sposób wyrażam! — Wszakże niezadługo zamyślasz starać się o małżonkę, którąby twemu sercu była miłą, o matkę plemienia książąt przyszłych. Będzieszże w stanie to uczynić, gdy się zaślepisz w malowanej postaci, która ci i głowę i serce zabierze? Zaklinam cię bracie, porzuć tę myśl nierozważną. Bo i na cóż się to przyda? Ta niewiasta już nie żyje, a gdyby nawet i żyła....«

»Więcby musiała być moją!« odrzekł Antonio. —

»A gdyby już do kogo innego należała?«

»Tenby żyć przestał!« rzekł jeszcze dobitniéj.

Z zadziwieniem spojrzał brat na Antonia, nareszcie po niejakiém milczeniu rzekł:

»W takim razie na mocy przynależnego mi prawa, protestuję przeciw temu, aby ten obraz był zawsze przy tobie. Należy on do nas obudwóch i dla tego spólnie go przechowywać będziemy.«

»Zostaw go przy mnie Bartholomeo!« rzekł Antonio nalegając.

»Na żaden sposób«; odrzekł brat z boleścią. »Byłoby to twą zgubą.«

»Zostaw go mnie, a — weź za to połowę skarbu, która mnie przynależy!« rzekł tamten jeszcze zapalczywiéj.

»Co za oświadczenie!« zawołał Bartholomeo z oburzeniem.

»Po raz piérwszy odmawiasz mi prośby? rzekł Antonio coraz bardziéj nalegając.

»Prośba twoja jest nierozsądną, szkodliwą, i dla tego — a przytém jeszcze z innego powodu — na żądanie twoje zezwolić nie mogę«; odparł brat mocno wzruszony.

»A tym innym powodem — jest tylko przywłaszczenie sobie tego obrazu!« rzekł Antonio.

»Bogiem się świadczę, że nie!« odrzekł Bartholomeo z niechęcią. »Nie myślę ja bynajmniéj przywłaszczyć sobie téj zabawki. Tylko przekonanie że ten obraz mógłby dla ciebie być szkodliwym, powoduje mnie do tego, że ci odmawiam; wartość jego dla mnie całkiem obojętna.«

»W istocie!« rzekł Antonio z iskrzącym wzrokiem. »Dobrze, doświadczmy! Jeżeli tak, więc obraz ten ani do mnie, ani do ciebie należéć nie będzie. — «

To rzekłszy, cisnął z wściekłością pięknym wizerunkiem o posadzkę tak mocno, iż w drobne kawałki się rozleciał. Bartholomeo wypatrzył się osłupiały w swojego brata. Nakoniec ujął go z łagodnością za rękę:

»Przebacz mi Antonio, jeżelim cię uraził«, rzekł uprzejmie. »Bóg świadkiem moim, żem inaczéj nie mógł postąpić! Obraz ten sam przez się był nic nieznaczący, lecz popędliwość twoja, wrażenie, jaki na tobie sprawił, i jeszcze jeden powód — którego teraz wymienić ci nie mogę.«

»Nie żądam o nim wiedziéć«, przerwał mu posępnie Antonio mowę. »Starajmy się utrzymać dobre porozumienie, które dotąd między nami było, przestrzegajmy, aby odtąd nic podobnego między nami nie zaszło. Moja popędliwa chęć przywłaszczenia sobie tego obrazu, twoje odmówienie méj prośbie, ten w szczątki potłuczony obraz, wszystko to zapowiada mi, że chociaż nie fałszywą, jednakże nieroźważną złożyliśmy przysięgę. Oby klątwa Magnalowiego na nas się nie ziściła!«

To rzekłszy i ścisnąwszy swego brata za rękę, Antonio zmięszany, wyszedł pośpiesznym krokiem z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 14. i obejmuje: 1) Uwagi nad pługiem. 2) O zdatności pasterza. 3) Przestroga, aby nie kupowano za drogie pieniądze mniemanych tajemnic podwyższania wydatków gorzelnianych i zaciérania bez drożdży. 4) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków i t. d. (Ciąg dalszy.) 5) Środek przeciw molom. 6) Wiadomości czasowe.

W kolei *Szkiców obyczajowych i historycznych* J. J. Kraszewskiego wyszła powieść piąta: *Stańczykowa kronika*. Wilno r. 1841. Obfity w twory dowcipu i wyobraźni autor *Witoloraudy* uchybił tu mocno: bo szlachetny i heroiczny czyn Jędrzeja z Kościelisk, osobistém gaszeniem pożaru w żupach solnych wielickich odznaczony, żartobliwie ustami Stańczyka wyszydza. Nie godzi się dla dowcipu historyi przeistaczać. *A...*

Z Krakowa: Będący właśnie w druku tom trzeci *Historyi literatury polskiéj* Michała Wiszniewskiego, zawierać będzie wiek XV. Uczony i pracowity autor tego dzieła, zebrał także materyjały do *Historyi Jana Sobieskiego*

Dnia 8go marca umarł w Dreźnie sławny poeta niemiecki, autor *Uranii*, August Tiedge, przeżywszy lat 88.

Przebaczenie. (*Z francuzkiego.*) Gdy Francuzi 1823 do Madrytu wkroczyli, był między nimi także pewien młody Hiszpan z armii wiary. Nagle ze stopni klasztoru wybiega młoda, blada, z rozpuszczonemi włosami, krwią zbroczona dziewica i woła na wojownika wiary: »Bracie, Alfonzo!« Młody towarzysz broni pospiesza naprzeciw niéj, przyciska ją do swego serca i zarazem pyta, »jak się ma ojciec?« — »Ujrzysz go«, odrzekła dziewica, ocierając sobie łzy z oczu. — »I ja nie mogę się wstrzymać od płaczu«, rzekł Alfonzo; »ach, jakże słodkie, jak przyjemne są łzy, które radość z oczu wyciska!« — »Jaka radość?« wrzasnęła Hiszpanka. To rzekłszy, zwróciła się i usiłowała pociągnąć za sobą brata. »Dokądże mnie prowadzisz Juanno?« zapyta Alfonzo. »Do naszego ojca.« — »Gdzież on jest? Wszakże nie tędy droga do pomieszkania jego.« — »Do jego pomieszkania? Ach, już go nie ma!« Słowa te wyrzekła głosem rozpaczy i z największym żalem. — »Ha, trętwieję!« zawołał młodzieniec. »Któżto śmiał ojca naszego wygnać z jego majątku?« — »Okrutni barbarzyńcy!« — »Gdzież on jest? powiédz, zaklinam cię na Boga i na Najświętszą Pannę!« — »Tam na wielkim placu; pójdź za mną!« Po tych słowach oboje rodzeństwo pospieszyli na wielki plac. Ale jakiż okropny widok się im przedstawił! Leżały tam ciała tych nieszczęśliwych, których srodzy naczelnicy, nieprzyjaciele wiary i króla, nielitościwie pozabijali. Drżącą ręką wskazała Juanna na kupę ofiar, które jeszcze niepogrzebane leżały, i rzekła: »Między tymi jest i nasz ojciec.« Pomścij się zań Alfonzo!« I wymieniła mu nikczemnika, który go zabił. Jak skamieniały stanął Alfonzo na chwilę; potém podniósł oczy w niebo, jak gdyby tam dla zemsty swojéj sił i błogosławieństwa chciał błagać. Siostra klęczała przy okropnie pokaleczonych zwłokach starca. Poczém z boleścią rzekła: »Patrz, oto nasz ojciec ukochany!« Młody wojownik padł jak nieżywy na zwłoki, i przysiągł, że się pomści okropnie! Blademi usty ucałował martwe ojcowskie czoło, potém wstał z miejsca, a miecz zabłysnął w jego ręku. — »Siostro!« rzekł, »przechowaj mi te ostatki, ja spieszę zemścić się na jego zabójcy.« Od téj chwili przestał młodzieniec być człowiekiem; podobien do lwa, pragnął gorąco krwi winowajcy: gdyż mu przed oczyma stały drogie zwłoki okrutnie zamordowanego ojca. Biegł jak bez zmysłów. Żołniérze wstrzymali go; jeden z naszych oficerów usiłował go uspokoić, napominał, aby uległ przeznaczeniu, i winowajcy przebaczył. — »Nieszczęsny!« zawołał rozjątrzony wojownik, »czyżbyś ty się za swojego ojca nie pomścił? Przypatrz się temu pokaleczonemu ciału!« — Gdy to mówił, wściekłość jego doszła do najwyższego stopnia. W tym zamęcie umysłu rzucił się Alfonzo oficerowi do nóg, ujął go za ręce, zaczął je całować, prosił i żądał od niego zemsty; jako łaski, jako dobrodziejstwa, domagał się krwi nieprzyjaciela. Lecz wyobrazić sobie można, iż wszystkie te prosby były daremne; już się obawiano powszechnie, aby sobie z rozpaczy życia nie odebrał, gdyż powtarzał nieustannie: »Jeżeli się na mordercy nie pomszczę, sam sobie śmierć zadam!« Osiwiały starzec obok stojący, jeden z zakonników hiszpańskich, usłyszawszy ten krzyk, zbliżył się ku niemu. Widział jak okropnem uczuciem i zamiarem wrzało serce młodzieńca. Czcigodny kapłan przystąpił do Alfonza, lecz ten odtrącił go, domyśliwszy się, czego żąda. Jednakże zakonnik nie dał się tem odstraszyć i przystąpił powtórnie z zapytaniem: »Alfonzo! Jestżeś ty Chrześcijaninem?« — »Jestem nim«, odrzekł młody wojownik, »ale chcę się pomścić ojca mojego!« — Wtém kapłan ukazawszy mu krucyfiks, rzekł: »Ten, co na tym krzyżu powieszon, umarł, aby nas nauczył, żeśmy nieprzyjaciołom naszym przebaczać powinni!« W milczeniu ukazał mu Alfonzo ciało ojca, a strumień łez potoczył się po jego licu. Kapłan zgadując jego myśli dodał z pośpiechem: »Zaprawdę powiadam ci, i zabójcy naszego ojca powinniśmy przebaczyć!« — Na te słowa wstrząsł głową Alfonzo, gdyż za wielką zdawała się mu taka ofiara. Tu czcigodny kapłan rzucił się mu do nóg i chwyciwszy go jedną ręką za połę, a drugą wzniósłszy krzyż w górę, zawołał: »Nim na twoich nieprzyjaciołach zemstę wywrzesz, wprzódy mnie, sługę Chrystusa zabij, wprzódy podepcz ten krzyż, który ojciec twój przebaczając swoim zabójcom, w ostatniém westchnieniu ucałował!« Słowa te sprawiły tak wielkie na umyśle młodego Hiszpana wrażenie, iż wzruszony do żywego, upamiętał się i poznał jak okropna namiętność go uniosła; podniósł z pośpiechem czcigodnego kapłana z ziemi, przycisnął krucyfiks gorąco do ust swoich, i rzucił się zakonnikowi w objęcie, a opuściwszy miecz z ręki, rzekł wzruszonym głosem: »*Przebaczam, jak Jezus Chrystus i mój ojciec przebaczył!*«

Niebezpieczna podróż do księżyca. Gdy jednego wieczora akademik C** przechodził przez *Pont-Neuf*, zwrócił na siebie jego uwagę pewien wędrujący astronom, który ustawiwszy swój teleskop na moście, zawołał: »Moi panowie, proszę tu spojrzeć! Tu można odbyć podróż do księżyca za kilka centymów!« Niebo było czyste, księżyc stał w pełni; pora była najdogodniejsza. Pan C**, który w téj chwili nie miał nic do czynienia, przystąpił do dalowidu i przytknąwszy doń prawe oko, z przyjemnością przebiegał dziwne pasma gór naszego trabanta. Mgła wieczorna przyćmiła nieco szkło dalowidu; akademik zeskoczywszy na ziemię, zaczął szukać chustki w kieszeni dla otarcia szkła spoconego. Ale jéj nie znalazł. »Zapewne ją zapomniałem«, pomyślił sobie; »dobrze, że jeszcze czas powrócić do domu, zanim uwertura w włoskim teatrze się zacznie.« Dla przekonania się chciał pierwéj spojrzeć na zégarek; lecz jak chustki tak i zégarka nie było. »Gdzie jest chustka, tam będzie i zegarek... Jakże ja dzisiaj roztargniony jestem! Lecz gdzież moja sakiewka?« — To rzekłszy, przepatrzył wszystkie swoje kieszenie; ale i sakiewki nie było. Teraz dopiero nasz wysoko-uczony akademik poznał, że się w przegląd dostał jakiemuś kieszonkowemu złodziejowi, który chodząc koło astronoma, także podróż do księżyca chciał odprawić. »Przyjacielu!« rzekł akademik do astronoma. »Na drugi raz, kiedy kogo zapraszasz w podróż do księżyca, przestrzeżże go wprzódy, iż w kraj ten drogi są niebezpieczne.«

Żyd i wódka. Pewien polski Żyd, który słuch stracił, skarżył się na tę słabość przed lekarzem. »Słabość twoja z tąd pochodzi, że za wiele pijesz wódki«, było zdaniem lekarza. Na to upomnienie Żyd przez czas niejaki przestał pić wódkę i znowu słuch odzyskał. Po trzech miesiącach zeszedł się Żyd z tymże samym lekarzem i był tak głuchym jak wprzódy. Lekarz krzyczy mu do ucha: »A tyś znowu pił wódkę?« — »Oj piłem«, odrzekł Żyd, »bo jakże nie pić mości doktorze, kiedy wszystko co człowiek teraz usłyszy, nawet i kieliszka wódki niewarte.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.